

ROLA

Rok V.
Kraków, dnia 14 maja 1911 r.
Nr. 20.

TYGODNIK OBRAZKOWY NIEPOLITYCZNY KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 5 do 6.

Czarodziejski, cudny maj!

Czarodziejski, cudny maj!
Wszechnatury życiem dyszy,
Dusza, serce, rozkosz, raj,
Chłonie, czuje, widzi, słyszy...

Czarodziejski, cudny maj!
Pełen życia, kwiecia, woni,
W dzień i w nocy każdy gaj
Słowiczemi pieśni dzwoni.

Czarodziejski, cudny maj!
Ukochaniem w sercu płynie,
Słodkie dziewczę, buzi daj,
Póki maj nam nie przeminie...

Czarodziejski, cudny maj!
Kwiaty ściele nam pod stopy,
Chodź kochanie, rączki daj
Zrywać kwiatów życia snopy.

Czarodziejski, cudny maj!
W promienistych marzeń roje,
W zakochania idąc raj,
Zrozkoszujmy dusze swoje.

Czarodziejski, cudny maj!
Zieleń, kwiaty, wonie, granie,
Serduszko mi dziewczę daj,
A ja ci dam swoje za nie.

Czarodziejski, cudny maj!
Kto nie kocha, żyć mu szkoda,
Lecz kto kocha temu raj,
W grudniu kwitnie dusza młoda..

Jantek z Bugaja.

WIOSENKA.

Zawitała wiosnka miła
Z poza ciepłych gór,
Roje ptasząt sprowadziła
Niby niebios chór.

Już obeschły błotne role
Słychać ptasząt śpiew,
Więc gospodarz ruszył w pole
I rozpoczął siew.

I rozpoczął w Imię Boże,
Wesół, szczęśliw, zdrów,
Zasiał ziarnko na ugorze
I powrócił znów.

Zawitała wiosnka miła
Do tych naszych niw,
W chatki słonkiem przyświeciła,
Jakby jaki dziw.

Przynieś wiosnko miłe słonko
Przynieś jasne dni,
Ja usiędę pod jabłonką,
Będę marzył ci.

Będę marzył, wiosnko miła,
Jaką będziesz ty,
Jak cię będzie Polska czciła,
Gdy wywróżysz sny.

Będę marzył, wiosnko miła,
Czasy dawnych lat,
Byś Ojczyźnie znów wróciła
Wolność do jej chat.

Józef Kulka.

Idzie wiosna naszym krajem...

Jakieś w duszy grają echa,
Brzmi radością wiejska strzecha,
Leci ptactwo nad wyrajem,
Idzie wiosna naszym krajem!

Jasna, czysta i ubrana,
Jakby w Wiśle wykąpana,
I pachnąca cała majem:
Idzie wiosna polskim krajem.

Już bocian do nas zawitał,
Klekotem się z nami zwitał,
Kreśląc koła ponad gajem...
Idzie wiosna naszym krajem!

Słonko płynie po błękicie,
Znów powstaje nowe życie,
Kwiatki kwitną nad ruczajem:
Idzie wiosna naszym krajem!

Skowronek w górę wzlatuje,
Rolnikowi przyśpiewuje,
Który orze hen za gajem!
Idzie wiosna naszym krajem!

A tu u nas z każdą wiosną
Chleba brak i długi rosną:
W przednówku starym zwyczajem
Idzie wiosna naszym krajem!

Lecz ta bieda zginie marnie,
Bo lud się do książek garnie,
Z oświatą niewoli kajdany
Zrzuci nasz naród kochany!

Wincenty Cechowy.

U stóp Zbawiciela.

Powieść historyczna z czasów Chrystusa Pana.

7. Wyścigi.

Przy spuszczaniu sznura Ben-Hur był ostatnim po lewej stronie. Na chwilę, równie jak i inni, wyszedłszy z ciemnej stajni, został oślepiony blaskiem słonecznym, bijącym od areny, zdołał jednak objąć spojrzeniem swych zapaśników i przeniknąć ich zamiary. Szczególniejszą uwagę zwracał na Messalę, jako na osobistego wroga. Piękna twarz Rzymianina przebijała, jak zwykle, wzgardą i dumą, a w chwili tej stanowczej Ben Hur widział na niej, jak w zwierciedle, duszę czarną, okrutną, przebiegłą i zaciętą; nie było na jej twarzy zapału, lecz raczej zawziętość i żelazna, nieugięta wola.

Nie ubiegł był jeszcze połowy drogi do sznura, gdy na widok szalonego rozpędu Messali błysnęła mu myśl, że wróg jego musiał chyba umówić się z pretorem i ten każe opuścić sznur w chwili, gdy konie Rzymianina dobiegną do oznaczonej linii.

Znając przewrotność i brak wszelkich skrupułów u Rzymian, miał prawo przypuszczać, iż zarządca igrzysk zechce dopomódz taką sztuczką swemu rodakowi, któremu tak wiele zależało na zwycięztwie. Inaczej, jakżeby wytłómaczyć tę szaloną pewność, z jaką pędził naprzód Messala, wówczas, gdy inni zapaśnicy hamowali konie przed spodziewaną przeszkodą, jak — jeśli nie uprzednią zmową lub też szaleństwem?

Ben-Hur na razie ustąpił mu miejsca przy murze.

Sznur spadł. Wszystkie konie, oprócz jego czwórki, rzuciły się naprzód, podniecane głosem i biczem. On skręcił na prawo i całą szybkością swych arabów pędził w poprzek śladów kół swoich współzawodników, obliczając kąt tego ruchu w ten sposób, aby stracić jak najmniej czasu, a zyskać jak najwięcej przestrzeni.

I tak, podczas gdy uwagę widzów pochłonął upadek Ateńczyka, a Lisypus, Dikeas i Admetus używali całej swej zręczności, aby się wyplątać z tej gmatwaniny koni i szczątków rydwanu, Ben-Hur okrążył ich i rumaki jego zrównały się głowa w głowę z końmi Messali, chociaż biegły po linii zewnętrznej od muru obwodowego.

Nadzwyczajna zręczność i szybkość, z jaką przeszedł ze skrajnego lewego końca na prawy, nie uszła bystrych oczu widzów, siedzących na ławach. Cyrk zadrżał od oklasków.

Estera nie posiadała się z radości. Rzymianie poczęli się obawiać, iż Messala znalazł sobie równego, a może wyższego, i to w Żydzie.

Pędząc tak obok siebie, z małym tylko przedziałem pomiędzy wozami, obaj współzawodnicy zbliżyli się do drugiej mety.

Podstawa stojących tam trzech słupów, widziana ze wschodu, to jest od trybuny konsula, była kamiennym murem półkolistym; naprost przeciwległej strony znajdowała się trybuna konsula. Zawrót ten był najtrudniejszą próbą dla woźnicy. Publiczność wiedziała o tem, to też ustał w jednej chwili hałas i po raz pierwszy od rozpoczęcia wyścigów słychać było wyraźnie tentent kopyt końskich i turkot kół.

Nagle Messala odwrócił się, spojrzał wyzywająco na Ben-Hura, jak gdyby go dopiero teraz zobaczył i poznał. Na twarzy jego odbiła się najwyższa pogarda. Zaklął głośno i zaciął z całej siły szeikowe araby.

Wszyscy widzowie spostrzegli ten cios zuchwały. Cisza wzmogła się jeszcze; nawet na ławach poza trybuną konsula najśmielsi zaparli oddech w oczekiwaniu tego, co nastąpi. Lecz pierwsze to osłupienie trwało zaledwie mgnienie oka: natychmiast, jak grzmot, spadł z balkonu jeden wielki okrzyk oburzenia.

Wystraszone konie Ben-Hura skoczyły w bok! Dotąd z miłością tylko i pieszczotą dotykała się ich ręka ludzka, to też i one widziały w człowieku przyjaciela i lgnęły doń z ufnością. Po raz pierwszy na grzbietach swych uczuły dotknięcie bata. Krew pustyni zawrzała w nich buntem; wszystkie cztery stanęły dęba, przegibując rydwan. Ben Hur jednak nie zachwiał się nawet. Skądże wzięła się u niego ta siła i pewność ręki? Skąd, jeśli nie od wiosła, którem tak długo ujarzmiał morze? Czemże było to przechylenie się wozu w porównaniu z miotaniem się galery po wzburzonej fali?

Więc nie drgnął nawet, tylko popuścił lejce i nawoływał swą czwórkę łagodnym, pieszczotliwym głosem.

Zanim ucichło oburzenie jego stronników, zdołał już skręcić na niebezpiecznym zawrocie obok drugiej mety. Przy pierwszej zrównał się znowu z Messalą, zyskując sobie sympatyę przeważnej liczby widzów, tych wszystkich, co nie byli Rzymianinami; a uczucia te objawiły się tak głośno, że Messala, pomimo całego swego zuchwalstwa, nie śmiał już drażnić Arabów.

Gdy rydwany okrążyły pierwszą metę, Estera mogła dojrzeć twarz Hura — była ona zupełnie spokojna, trochę tylko bledsza niż zwykle.

W tejże chwili dozorca wszedł na wschodni koniec spiny i spuścił jedną z drewnianych kul. Jednocześnie przy zachodnim krańcu zrzucono jednego delfina.

Potem spadła druga kula i drugi delfin.

Potem trzecia kula i trzeci delfin.

Trzy razy okrążono arenę, a Messala dotąd utrzymywał się przy murze; Ben-Hur pędził obok niego; trzej inni w pewnej od nich odległości.

Gonitwy przybrały charakter podwójnych wyścigów; mierzył się Messala z Ben-Hurem, a dalej dopiero biegli Dikeas, Lisypus i Admetus.

Tymczasem dozorcy zdołali skłonić publiczność z galeryi, aby zasiadła znowu na ławach, lecz hałas nie ustawał; okrzyki, jak pył z pod kopyt końskich, unosiły się poza migającymi się rydwanami.

W piątym biegu Sydończyk zrównał się z Ben-Hurem, lecz natychmiast Żyd wyprzedził go znowu.

Szósty bieg zaczął się bez żadnej zmiany w stanowiskach zapaśników. Stopniowo zwiększali oni szybkość, krew ich rozgrzewała się coraz bardziej. Zdawaćby się mogło, że konie wiedziały równie dobrze, jak i szermierze, że nadchodzi chwila stanowcza, w której okaże się ostatecznie ich wartość.

Uwaga tłumu, skupiona od początku igrzysk na Messali i Ben-Hurze, z przeważającą dla Żyda życzliwością, poczęła teraz zmieniać się w niepokój o niego. Ze wszystkich miejsc widzowie, pochyleni naprzód, jakby skamieniali, gonili oczyma szermierzy.

— Messala rozpuścił już swoje konie w największym biegu — wołał jakiś Rzymianin. — Patrz, podany jest naprzód, lejce zwieszają się wolno, jak wstęgi. A teraz spojrz na Żyda.

— Na bogów — zawołał pierwszy, wytężając wzrok we wskazanym kierunku. — Ten pies wstrzymuje całą siłą swoje araby. Widzę! widzę! Jeśli bogowie nie dopomogą naszemu przyjacielowi, zostanie pobity przez tego podłego obrzezańca. Nie! jeszcze nie! Patrz! Jowisz z nami! Jowisz z nami!

Okrzyk ten, powtórzony przez wszystkich Rzymian, wstrząsnął purpurową oponą nad głową konsula i dostojników.

Messala zaczynał wysuwać się naprzód. Rumaki jego gnały w szalonym pędzie; łby ich, pochylone naprzód, zdawały się dotykać ziemi; nozdrza nabiegały im krwią, oczy wyłaziły z opraw; widać było, że dobywają wszystkich sił swoich. Czy długo będą mogły biedz w tym szalonym galopie? A był to zaledwie początek siódmego koła.

Mknęły dalej. Przy drugiej mecie Ben-Hur skręcił poza rydwan Rzymianina.

Radość stronników Messali nie miała granic: krzyczeli, wyli, powiewając w górze szkarłatnemi wstęgami i piórami.

Malluch zaledwie mógł usiedzieć na swojej ławie, w niższej galeryi, ponad bramą tryumfu. Piastował on w duszy nadzieję, wzniecona przez Ben-Hura, że na zakręcie drugiej mety stanie się coś niezwykłego. Pięć razy szermierze okrążali już ją, a dotychczas obietnica ta nie spełniła się jeszcze. Malluch tłómaczył sobie, że może szósty obieg sprowadzi tę niespodziankę, lecz, niestety, dotychczas Ben-Hur mógł zaledwie podążać za rydwanem swego przeciwnika.

Na wschodnim krańcu galeryi, Simonides i jego kompania udawali spokój. Kupiec siedział z głową spuszczoną na piersi. Ilderim szarpał białą brodę, marszczył groźnie brwi, a oczy jego ciskały iskry gniewu. — Estera powstrzymywała oddech, śledząc każde uderzenie kopyt szeikowych rumaków; jedna tylko Iras zdawała się cieszyć z przebiegu gonitw.

Szósty obieg. Messala prowadzi wyścig, za nim Ben-Hur, tak biegną do pierwszej mety.

Na zakręcie Messala, bojąc się utracić swoje położenie, ocierał prawie orczykowymi końmi o mur; o stopę bliżej, a rydwan jego roztrzaskałby się w kawałki. Po okrążeniu mety, najbystrzejsze oko, patrząc na ślady kół, nie zdołałoby rozpoznać, gdzie przejechał Messala, a gdzie Żyd. Pozostawiali poza sobą jednę tylko kolej.

Gdy Ben-Hur przejeżdżał pod ich galeryą, Estera znowu dojrzała twarz jego. Był jeszcze bledszy, niż przedtem.

— Nie znam się chyba na ludziach — odezwał się Simonides do Ilderima w chwili, gdy skręcali — nie znam się na ludziach, jeśli Judah nie knuje w głębi duszy jakiegoś śmiałego zamachu. Twarz jego mówi to najwyraźniej.

Ilderim myślał tylko o swoich arabach.

— Czy uważasz, przyjacielu — mówił — jak są spokojne, jak nie znać na nich wysiłku. Na światłość Boga! Dotychczas one jeszcze nie biegały... Lecz teraz, patrz!

Na podstawach spoczywały już tylko jedna kula i jeden delfin. Rozpoczynał się początek końca.

Sydończyk zaciął swoją czwórkę, która wysunęła się naprzód, lecz zaraz wyprzedziły ją konie Messali.

Potem Dikeas i Lisypus próbowali kolejno szczęścia, lecz i oni zostali ubiegnięci. Wtedy już wszystkie barwy, wyjąwszy szkarłatnej ze złotem, przeniosły swe nadzieje na Ben-Hura i uczuciu temu dawały wyraz w jednogłośnych okrzykach.

— Ben-Hur! Ben-Hur! — rozlegało się po całym cyrku.

Z ław ponad jego głową rozgorączkowana galerya rzucała mu swoje przestrogi:

— Spiesz się! spiesz, Żydzie!

— Dotrzyj do muru!

— Wypuść konie w pełnym galopie!

— Batem ich!

— Nie daj się mu wyprzedzić na zakręcie! Teraz, albo nigdy!

Przechylali się ponad balustradą; tysiące rąk wyciągało się do niego.

On albo nie słyszał lub też nie mógł rad ich usłuchać. Przy drugiej mecie był jeszcze wciąż w tyle poza Messalą.

Na zakręcie, około podstawy ze słupami, Messala ściągnął lewe konie, co naturalnie zwolniło ich bieg. Wyglądał już teraz na tryumfatora; stał dumny, wzgardliwy. U trzech kolumn po tamtej stronie, o sześćset stóp zaledwie, była sława, majątek, zaszczyty, — a wszystko to dla niego!

W chwli tej Malluch dostrzegł z galeryi, jak Ben-Hur, podając się naprzód, popuścił cugle swym rumakom; rozwinął długi bicz, świsnął nim nad ich głowami, rozpuścił go, świsnął znowu i znowu, a choć bicz nie opadał na grzbiety arabczyków, był jednak dla nich podnietą i groźbą.

Twarz młodzieńca, dotychczas zimna i spokojna, poczerwieniała nagle, oczy zabłysły postanowieniem i dziką odwagą. Konie, jakby rozumiejąc to wezwanie, w jednym skoku zrównały się z końmi Rzymianina. Do uszu Messali nie dolatywało żadne słowo zachęty; cyrk rozbrzmiewał jednem tylko imieniem.

Pochylony nad arabami, przemawiał do nich w starożytnym języku pustyni.

— Dalejże, Atair! Chyżo Rigel! Cóż to, Antares? Czemu się ociągasz? O! dobry, piękny konik, o Aldebaran! Czy słyszycie, jak tam śpiewają pod namiotami? Śpiewają niewiasty, śpiewają dzieci!... A o czem? Śpiewają o gwiazdach, o Atairze, o Antaresie, o Rigelu, o Aldebaranie i o zwycięztwie — a pieśń ta przetrwa wieki. O tak, tak! Prędzej! Jeszcze prędzej! Jutro popędzimy do domu, pod czarne namioty. Chyżo Antares! Całe plemię patrzy na nas i pan na nas patrzy. Już! już! Ha! ha! Zdeptaliśmy pyszałka! Ręka, co śmiała was dotknąć zgnieciona. Chwała jest naszą! Naprzód! naprzód! A szybko, a chyżo! No, teraz już dosyć! Robota skończona! Stójcie!

Oto, jak się to stało:

W chwili, gdy Ben-Hur puścił cugle swojej czwórce, Messala właśnie okrążał mur przy mecie. Aby go wyprzedzić, Judah musiał przeciąć w poprzek arenę — przy jak najmniejszej stracie czasu i przestrzeni, zakreślając jak najkrótszą linię. Pojął to ów tłum na ławach, śledzący każdy jego ruch z gorączkowym niepokojem, a konie także zdały się rozumieć. I widziano, jak oba rydwany pędziły koło w koło.

Nagle rozległ się trzask, a jednocześnie poleciały po arenie białe i żółte drzazgi. Rydwan Rzymianina przechylił się na prawą stronę, oś, uderzywszy o twardy tor, odskoczyła raz i drugi, i wóz roztrzaskał się w drobne kawałki, a Messala, zaplątany w lejce, padł głową naprzód.

Jakby dla powiększenia grozy tego widoku, Sydończyk, który tuż poza nim trzymał się muru, nie mógł wstrzymać koni, wypuszczonych w pełnym galopie, ani też zawrócić w bok. W największym pędzie wpadł na połamany rydwan, przejechał po leżącym bezwładnie Rzymianinie i wleciał w sam środek jego spłoszonej czwórki. Konie poczęły się gryźć, wspinać, on podcinał je batem i po grzbietach końskich, po szczątkach wozu, po tem bezwładnem ciele, gnał dalej wśród tumanu kurzu i piasku.

Dikeas z Bizancyum i Lisypus Koryntczyk ubiegli go już wprawdzie o kilka stóp, pozostawali jednak o dwie długości w tyle poza Ben-Hurem. On teraz prowadził gonitwę.

Lud na galeryi podniósł się z ław, przechylał się z balkonów, krzyczał, tupał nogami i klaskał w ręce. I widział Messalę pod kopytami rumaków, to znów pod kołami wozu. Leżał nieruchomy, jak martwy. Mało kto jednak patrzał na niego; wszystkie oczy podążały za Judą.

Nikt wszakże nie dostrzegł tego, co zaszło przed chwilą; jak Ben-Hur niesłychanie zręcznym zwrotem skręcił o kilkanaście cali na lewo, jak żelaznym końcem swej osi zahaczył o koło Messali, jak, przyparłszy go tym ruchem do muru, zmiażdżył jego rydwan. Tego nie widziano, lecz każdy zauważył zmianę w twarzy Żyda, każdy odczuł podniecenie jego ducha i szaloną energię, jaką słowem, spojrzeniem i giestem przelewał w swoje araby.

A co za pogoń! Rzekłbyś, że to lwy zaciekłe pędzą, wprzągnięte do tego rydwanu, i gdyby nie turkot kół, możnaby sądzić, że czwórka unosi się w powietrzu.

Dikeas i Koryntczyk byli zaledwie w połowie areny, gdy Ben-Hur stanął pierwszy u mety.

I wyścig był wygrany!

Konsul powstał z siedzenia; pretor zeszedł po kamiennych schodach i uwieńczył zwycięzcę.

Tryumfatorem w walce na pięści był rudowłosy Saksończyk. Twarz jego dzika, brutalna, zwróciła uwagę Ben-Hura. Spojrzał bystrzej i poznał mistrza w sztuce szermierskiej, u którego był w Rzymie ulubionym uczniem. Następnie przeniósł wzrok na galeryę, szukając tam swoich przyjaciół.

Estera siedziała zapatrzona w niego, nieruchoma, jak posąg; Iras natomiast podniosła się na ławie i przesłała mu czarujący uśmiech i skinienie wachlarzem, a były mu one bardzo miłe, choć taki sam uśmiech i skinienie dostałyby się Messali, gdyby był zwycięzcą.

Wśród radosnych okrzyków tłum wychodził z cyrku przez Bramę Tryumfu.

Tak skończyło się widowisko.

8. Wezwanie Iras.

Ben-Hur z Ilderimem przeprawili się zaraz przez rzekę, gdyż o północy podążyć mieli tą samą drogą, po której na trzydzieści godzin przedtem ciągnęła karawana.

Szeik był uszczęśliwiony. Pragnął wynagrodzić Judę po królewsku, lecz młodzieniec nic przyjąć nie chciał, mówiąc, że upokorzenie wroga starczy mu za wszelkie nagrody. Długo prowadzili o to sprzeczkę.

— Pomyśl jeno — przekładał szeik — co ci zawdzięczam. Po wszystkich czarnych namiotach, aż do oceanu i wzdłuż Eufratu i hen! aż do morza Scytów, rozniesie się sława mojej Miry i jej potomstwa, a ci, co opiewać o niem będą, rozsławią także moje imię, choć jestem już u schyłku moich dni. Wszystkie miecze oddadzą się pod moje dowództwo i moje wojsko będzie niezliczone. Ty nie wiesz nawet, co to jest mieć władzę na pustyni, taką, jaką ja posiędę. Powiadam ci, handel opłacać mi będzie haracze, królowie przyjdą szukać mojej przyjaźni. Ha! na miecz Salomona! gdybym teraz słał posły do cezara, nawet i on nie śmiałby mi niczego odmówić. No i cóż nic, nic przyjąć nie chcesz?

A Ben Hur odpowiadał na to:

— Nie, szeiku, dość mi jest mieć twe serce i rękę twą, co mnie zasłoni przed niebezpieczeństwem. Niech potęga twoja i bogactwo służą temu, który nadchodzi. Kto wie, czy nie dla niego dane ci one zostały? W dziele, któremu się teraz oddam, możesz mi być wielce pomocny. Na twoje wspaniałomyślne prośby odpowiadam dziś: »nie«, lecz kto wie, czy w przyszłości nie zażądam od ciebie znacznie więcej.

Podczas jednej z takich rozpraw dano znać, że przybył Malluch i drugi jakiś, nieznany, wysłaniec.

— Pan mój — rzekł wchodząc — przysyła mnie, abym ci doniósł, że wśród stronnictwa rzymskiego powstają głosy przeciwko wypłaceniu zdobytej przez twoje konie nagrody.

Ilderim porwał się gniewnie.

— Na światłość Boga! — krzyczał, tupiąc nogami — cały Wschód orzeknie, czy wyścig został wygrany rzetelnie!

— Uspokój się szeiku — przerwał Malluch — pretor wypłacił już te pieniądze.

— Ha! tak, to co innego!

— Na zarzut, że Ben-Hur pchnął osią rydwan Messali, zarządca igrzysk roześmiał się i przypomniał im o zacięciu batem twojej czwórki przy zakręcie u mety.

— Cóż słychać o Ateńczyku?

— Umarł!

— Umarł! — zawołał Judah.

— Umarł! — wykrzyknął Ilderim. — Ach!... czemuż to nie spotkało tego rzymskiego potwora! Lecz oni mają psie szczęście. Cóż tam z Messalą? Czy żyje?

— Żyje... Lecz, o szeiku, życie to gorsze od śmierci, będzie mu ono nadal ciężarem. Doktorowie mówią, że nie odzyska już nigdy władzy w nogach.

Ben-Hur wzniósł wzrok dziękczynny ku niebu.

— Wstrzymajcie się — rzekł po chwili Malluch, gdy chcieli wychodzić. — Czeka tu jeszcze drugi wysłaniec. Czy chcecie go widzieć?

— Na chwałę Boga! Zapomniałem o nim zupełnie.

Malluch ukłonił się i odszedł. Za chwilę pojawił się młody chłopiec, wdzięcznej bardzo postaci. Przyklęknąwszy na jedno kolano, zaczął mówić z pochlebstwem w głosie:

— Iras, córka Baltazara, dobrze znana Ilderimowi Sprawiedliwemu, pozdrawia go i przesyła mu powinszowania z powodu zwycięztwa jego koni.

— Córka przyjaciela mego jest na mnie łaskawą — odparł Ilderim, a oczy zaświeciły mu zadowoleniem. — Oddaj jej ten klejnot na znak, że miłą mi jest jej pamięć.

Zdjął z palca bogaty pierścień i podał go wysłańcowi.

— Woli twojej stanie się zadość, o szeiku! — odrzekł chłopiec.

Poczem ciągnął dalej:

— Córka Egipcyanina dała mi drugie jeszcze zlecenie. Prosi, by zacny szeik Ilderim uwiadomił żydowskiego młodzieńca, Ben-Hura, jako ojciec jej zamieszkał chwilowo w pałacu Ildernee i ona przyjmie tam syna księcia Hura, jutro, po czwartej godzinie dnia. A jeśli szeik skłoni się łaskawie do tej prośby, kazała mi w swojem imieniu złożyć mu dzięki.

Szeik spojrzał na Ben-Hura. Na twarzy młodzieńca malowało się wielkie uradowanie. Ilderim uśmiechnął się i mówił:

— Tak, tak, kiedyżby człowiek używał życia, jeśli nie w młodości!

— Powiedz tej, co cię tu przysłała — rzekł Judah, zwracając się do wysłańca — że ja, Ben-Hur, jutro o oznaczonej godzinie stawię się w pałacu Ildernee, gdziekolwiekby się on znajdował.

Chłopiec powstał i skłoniwszy się nisko, odszedł.

O północy Ilderim ruszył w dalszą drogę, pozostawiając konie i przewodnika dla Judy, który nazajutrz miał za nim podążyć i dognać go w drodze.

(Ciąg dalszy nastąpi).



WYŚCIGI RZYMSKIE.

Czytelnicy pięknej powieści „U stóp Zbawiciela“ znajdą dziś w „Roli“ opis wielkich wyścigów wozowych, ulubionej rozrywki w czasach starożytnych. W poprzednim numerze był opisany budynek cyrkowy. Zgadza się ten opis zupełnie z tem, co wyrysowane jest na powyższym obrazku. W ten sposób każdy Czytelnik będzie w stanie wyobrazić sobie jak się odbywały w Rzymie owe igrzyska, które gromadziły po setki tysięcy widzów z całego kraju. Oczywiście takie wspaniałe budynki cyrkowe znajdowały się tylko w wielkich miastach.

Gawędy o Różnych Sprawach.

Nieprawości pruskie.

Biednym jesteśmy narodem. Rozdarto nas na troje i cośmy dawniej gromili Rosyan, rozbijali hufce niemieckie, jesteśmy teraz w niewoli.

Prusak dokłada wszelkich sił, aby nam mowę polską i ducha polskiego odebrać. Ktoby wyliczył te nieprawości i okrucieństwa, jakich się Prusak na naszych rodakach w Poznańskiem dopuszcza! Gdzie tylko można, rząd pruski zabrania naszym robotnikom i urzędnikom mówić po polsku nawet w rodzinie. Jeden np. robotnik kolejowy, który miał śniadanie zawinięte w gazetę polską, został ukarany grzywną 15 marek. Sądy pruskie są dla nas niesprawiedliwe. Jeżeli się Niemiec procesuje z Polakiem, to najczęściej wygrywa w nich Niemiec. Nasze stowarzyszenia prześladują, zamykają je a nawet osobno rząd pruski płaci niemieckim nauczycielom tem wyższe sumy, im bardziej męczą dzieci polskie językiem niemieckim i im więcej je biją, jeżeli mówią po polsku. Prusak utworzył całe wojsko tajnych szpiegów, którzy śledzą naszych księży wszędzie, wszystko u Polaków podsłuchują i podpatrują, a chcąc za wysokie pensye przecież rządowi coś przynieść, wymyślają o Polakach rozmaite plotki i oczerniają ich ustawicznie. Od pewnego czasu w Poznaniu roi się od szpiegów, którzy wkręcają się wszędzie, gdzie tylko mogą co posłyszeć i śledzą każdy krok wybitniejszych działaczy polskich. Przed kilkunastu dniami nawet udało się Polakom odkryć takiego szpiega. Sekretarz »Straży polskiej« w Poznaniu, Dr. Schroeder, która, jak nazwa wskazuje, ma na celu stać na straży polskości i jest bardzo potężnem stowarzyszeniem, zauważył, że od kilku dni zamek skrzynki listowej umieszczonej na drzwiach, do której listonosz wrzucał ranną pocztę, nie funkcyonuje należycie. Na razie nie przywiązywał do tego większej wagi. Dopiero w ubiegły piątek Dr. Schroeder usłyszał, że ktoś manipuluje przy skrzynce, uchylił tedy ostrożnie okienko w drzwiach i ku swemu ogromnemu zdumieniu spostrzegł, że jakiś obcy mężczyzna otworzył skrzynkę, wybrał z niej listy, zostawiając druki, przeglądnął, porobił kilka notatek i następnie, zdaje się, część wrzucił z powrotem, drugą zatrzymał, poczem pospiesznie się oddalił. Manipulacya ta powtórzyła się jeszcze w sobotę i w niedzielę. W poniedziałek Dr. Schroeder oczekiwał przybycia nieznajomego wraz z jednym świadkiem. Widzieli obaj, jak szpieg najbezczelniej wybrał listy i odszedł. Wobec tych dowodów zdecydował się Dr. Schroeder przytrzymać szpiega za wszelką cenę. Rano we wtorek czekało na przybycie włamywacza trzech mężczyzn. Dziesięć minut po 8 rano przybył szpieg, zajrzał do skrzynki i już chciał odejść, ponieważ listonosz listów jeszcze nie wrzucił. Wówczas Dr. Schroeder wypadł wraz z towarzyszami z biura, pochwycił go i sprowadził do biura a ponieważ stawiał opór, skrępowano go silnie powrozami i sprowadzono policyanta. Policyant zrewidował go i zabrał mu portmonetkę, w której znajdowała się bronzowa marka, jakiej używają ajenci policyjni. Odstawiono go do policyi, lecz policya poznała, że szpieg należy do niej i nic mu nie zrobiła, nazwiska jego nie wymieniła i »Straż polska« nie otrzymała żadnego zadośćuczynienia.

Tak to w Prusach wszyscy mają sprawiedliwość, tylko dla Polaków jej niema. Da Bóg, że niewolę nasz naród przetrzyma i przy wspólnej pracy, zgodzie i ukochaniu wszystkiego co nasze zrzuci kiedyś pęta niewoli i zmartwychwstanie Polska, wielka i szczęśliwa.



MACIEK BZDURA GADA:

Z mojem posłowaniem to nie taka łacwa rzec, jak mi się drzewi widziało. Z pocątku myślałem, ze jak się ludziom taki porządny i ucony człowiek po mandat zgłosi, człowiek taki jak ja, to ludzie pójdą za mną, jak muchy za miodem. A tu jakosik ciężko idzie i ani rus dali poliść ni moze.

Wcora pocąłem gadkę o tem z Bartkiem Gwizdałą, a on mi tak pada:

— Wis Maciek, nie gniwaj się, ale ja ci powiem prawdę, ze ciebie Pon Jezus jesce nie całkiem na posła stworzył. Ty, jak się spotkas z ludziami, to jem zaraz prawdę gadas, a dzisiaj tego ludzie nie lubią. Patrz na innych kandydatów, na tych najpirwy, co jem to nie o dobro chłopskie chodzi, ino o własną chwałę. Taki na ten przykład Stojałowski, to jak ci gdzie przyjedzie na zgromadzenie, to tyle ludziom nadmucha, ze choć wsyscy wiedzą dokumentnie, co to nie prawda, a i tak na niego niektórzy głosują.

— Pytałem się wkiejsik — mówił dalej Bartek — tych co się onygo Stojałowskiego trzymają, la cego oni idą z nim i z wsiemipolakami, a oni mi na to: »My ta wimy, ze starowina i jego kalikanty nic nam nie zrobią dobrego, ale to taki szopny chłop, to niech se ta jedzie do Widnia, boby w Bilsku, gdzie inacyjby siedział, wszyćkie ludzieby pobałamucił«. Wis, Maciek, łgaj i ty, krzyc duzo, to cie prędzej ludziska wybierą.

Tak gadał Bartek, a mnie zaraz bolącka ułapiła, ze byle kto, to ma scęście, a porządny człowiek to ni. Uspokoił mnie Bartek i tak dalej pada:

— Jak się chces naucyć łgać, bracie, to przystań do socyalistów. Tam ci dopiro mają ludzi, którzy co powiedzą słowo, to osiem razy zełgają. Ale to jesce nic, ze łgają, bo łgać to i baba nawet potrafi, ale oni umią tak łgać, ze często nawet rozumny człowiek na ich cygaństwach połapać się nie potrafi. Tambyś się dopiro naucył kandydować!

Chciał jesce dalej Bartek o takich paskudztwach się rozwodzić, alem wcisnął capkę na usy i posedem do koni, bo mnie okrutecnie złość rozpirała.

Posłem chcę być i będę, bo mi wszyćkie porządne ludzie głosy dadzą, ale do cygaństwa uciekał się nie będę, bo to lada krzykac i koncesyjnik potrafi, ale ja nie, bo nie chce.

Co prawda, tom se jesce zadnego okręgu nie wymyślił, ale i na to dali mi dobrą radę moja gospodyni, to jest, zebym z cały Galicyi kandydował, to od samych cytelników »Roli« będę miał kilkaset tysięcy głosów. Jak kazdy z moich przyjacieli da mi jeden, dwa, abo i więcej głosów, to wtedy taka chmara się tego uzbiera, ze będę odrazu posłem i zastępcą i moze jesce cem a wszyćkie socyjalisty będą ze złości śpiwać zydowski »majufes«. La kazdego wyborce wtedy za śtyry korony ino cały rok kazę posyłać »Rolę«.

Z WIĘŹNIA WODZEM.



Komuż nieznane są owe pamiętne wypadki z czasów wielkiej rewolucyi francuskiej, która rozszalawszy we Francyi, rozlała się po całej Europie, a nawet i o inne części świata zawadziła. Wiadomo, że przed stu laty rzucono we Francyi wielkie hasło wolności ogólnej i równości wszystkich wobec prawa. Ale te hasła wzniosłe i piękne podjęli ludzie źli a przytem ciemni i przemienili je w hasła nienawiści, w hasła mordu i pożogi.

Spłynęła krwią Francya cała, a gilotyna ścinała głowy, jak kosa trawę na łące. Kto nie chciał słuchać przywódców mordów i rzezi, ale działał uspakajająco, szedł na śmierć, często bez sądu nawet a prawie zawsze niewinnie.

W owych czasach w Paryżu żył i działał Ks. Serweau, który na każdym kroku karcił wybryki dzikiej tłuszczy, tłomacząc ludowi, że tylko wolność oparta na miłości bliźniego może przynieść szczęście ludzkości.

Nienawidzili go całą duszą rewolucyoniści, ale z drugiej strony bali się uwięzić i skazać na śmierć człowieka, który był znanym i lubianym powszechnie. Mimo to szukali jednak sposobu, aby go po cichu, bez hałasu sprzątnąć na zawsze.

Pewnego razu powracał Ks. Serweau z przedmieścia od chorego, któremu pospieszył był z ostatnią pociechą religijną i odmawiał przez drogę pacierze. Szedł powoli, bo stary był, a droga była daleka. Od czasu do czasu rzucał wzrok po okolicy a czoło jego zasępiało się coraz bardziej, gdyż wszędzie spostrzegał ślady, jakie pozostawiała rewolucya.

Myśl jego ciągle powracała do jednej i tejsamej prawdy, którą ujmował w te słowa:

— O, tak wiele troszczą się ludzie, jakby to życie ich trwać miało wieki, a tu tylko jednego im potrzeba, t. j. zbawienia duszy!

Gdy tak rozmyślał, niespodziewanie otoczyła go zgraja rewolucyonistów, którzy przecież raz znaleźli stosowną chwilę, że go mogli ująć i zgładzić bez rozgłosu. Pomimo wewnętrznego wzruszenia zacny kapłan nie dał niczem po sobie poznać, że uwięzienie było mu niemiłe.

Gdy go tylko żołnierze otoczyli, przyspieszył kroku i szedł tak żwawo, jakby mu co najmniej 20 lat ubyło. Z początku żołnierze dotrzymywali mu kroku, myśląc, że ksiądz Serweau w końcu ustanie, ale gdy ten ciągle szedł szybko, jak przedtem, zapytał ze złością:

— Cóż do dyabła! tak gonisz, jakbyś co rychlej chciał z głową swoją się pożegnać?

— Do dyabła ja, przyjacielu, nie gonię — odparł kapłan — bo on nie jest moim, ale waszym towarzyszem, lecz mnie spieszno do Tego, który umarł za mnie i za takich siepaczy, jak wy, to jest do Pana i Zbawcy naszego.

— A gdzież On jest, jeśli wolno zapytać — zawołał któryś z żołnierzy z drwinami.

— Tu i na każdem miejscu — odparł ksiądz.

— Ha, ha, ha! — wybuchnęli śmiechem żołnierze — gdyby tu był, tobyśmy go widzieli.

— A ja go jeszcze nigdy nie widział — dodał któryś z siepaczy.

— Żałuję mocno, żeście Chrystusa nie widzieli — rzekł ksiądz, — ale jeszcze bardziej żałuję, że Go nigdy widzieć nie będziecie. Pana naszego będą mogli widzieć tylko ci, którzy życie swe spędzą w miłości Boga i bliźnich, ale tego o was i wam podobnych powiedzieć nie mogę.

Nic na to nie odpowiedzieli żołnierze, ale i nie przeszkadzali kapłanowi w dalszej nauce. Zacny ksiądz

znalazł się w swoim żywiole. Zdawało się mu, że stoi wśród swoich wiernych owieczek i począł przed słuchaczami rozwijać jedną prawdę za drugą. Słowa jego płynęły strumieniem i wpadały do serc zatwardziałych grzeszników. Ten i ów odkrył głowę, a wpatrzywszy się w twarz więźnia swojego słuchał słów jego z całem namaszczeniem.

I mąż ten z więźnia stał się teraz wodzem owej gromadki ludzi. Z wyjątkiem dwóch wszyscy ślubowali mu odtąd rozpocząć życie inne; ślubowali zaprzestanie łączności z rewolucyonistami, a przyrzekli siać na każdym kroku miłość ku Bogu i bliźniemu.

I dotrzymali święcie przyrzeczenia!...

Ks. Serweau niedługo jednak przeżył ową chwilę. Gdy dnia jednego rozszalała rewolucya na ulicach Paryża, jakaś zabłąkana kulka przecięła pasmo jego żywota.

Witaj królewiczu Maju!

Swit i cisza! Na wschodzie różowi się nieboskłon, jak twarzyczka niewinnego dziecięcia.

Ponad czerwienią zorzy porannej w perłowo-niebieskiem przeźroczu drży srebrzystym blaskiem prześliczna jutrzenka, obraz Niepokalanej Madonny; jak lilia biała w wianuszku niezabudek.

Ziemia budzi się i nuci niebiosom poranny hymn miłości...

Lekki i wonny wiaterek wiosenny strząsa brylanciki rosy z szmaragdów traw i roztwiera różnobarwne kielichy kwiatów na kobiercach łąk, jak usteczka dzieciny, poruszane w modlitwie...

Rój skrzydlatych minstrelów, bardów i wajdelotów, zbudzony z krótkiego wiosennego snu, strząsnąwszy kropelki rosy z różnobarwnych piórek, wspaniałymi głosy nuci chorał uwielbienia i składa go z pokorą u stóp Pana wszechrzeczy...

Nagle różowa zorza przyobleka się złocistą jasnością i wśród blasków powodzi z poza wschodniego nieboskłonu wypływa olśniewającej piękności rydwan, tonący w splotach kwiatów a ciągniony przez jaskółki za pomocą promieni słonecznych. Niezliczony rój motyli o barwach tęczy otacza rydwan a w nim spoczywa młodzieniec cudnej urody, w którego promiennych włosów aureoli jaśnieje napis: »Maj«.

Szata młodzieńca utkana szmaragdami listków, perłami narcyzów, topazami jaskrów i ametystami fiołków a w jego ręku tkwi bukiet wspaniałych białych lilii. Młodzieniec zbliżywszy się z czołem kornie schylonem składa lilie u stóp tronu potężnej Królowej Niebios, oddając Jej w szczególną opiekę całe swoje przez miesiąc trwające królowanie...

I stała się wielka radość we wszechświecie... Szarzy śpiewacy na gałązkach krzewów nadrzecznych zanucili wspaniały hymn uwielbienia ku czci Niepokalanej Dziewicy a nawet ubożuchny pastuszek, pod drzewem usiadłszy, zagrał na wierzbowej ligawce prostymi a rzewnymi tony:

Uroczy, luby maju
Przybywaj, prosim cię!

O wiosno i maju! wyście rozkoszą i ozdobą przyrody! O młodości! Tyś wiosną i majem ludzkiego istnienia.

Teofil Tryczyński.

CZARNY ROK.

Powieść ukraińska M. Synoradzkiego.

Ciąg dalszy).

Sceny powyższej nikt się nie domyślił, nikt też nie spostrzegł zbiega, co łacno wytłómaczyć, gdyż izba leżała od tyłu chaty. Zdziwienie też szlachty było olbrzymie, skoro po przebudzeniu się do izby więźnia zajrzano. Wszczął się tumult, krzyki; przeszukano chatę od góry do dołu, kilkunastu w pogoń się rozbiegło w rozmaite strony, wszystko atoli bezskutecznie.

— To mi niespodzianka! — mruczał Padyga — klnąc na czem świat stoi. — Byliśmy tuż przy lądzie i... licho nadało...

— Trza zacząć poszukiwania na nowo — wtrącił Karski.

— Jużcić że trzeba, ano... nie łacno to przyjdzie. Jedyny ślad był w ręku tego łotra... z nim przepadł.

Wszyscy zafrasowani byli wielce, osobliwie zaś Karski i Padyga.

Po długiej i wyczerpującej dyspucie, na której nic nie wymyślono, Padyga dał znak, aby się do drogi mieli.

— Snać nie sądzono nam sprawiedliwości zadosyć uczynić — rzekł. — Ha, trudna rada! Bóg świadom, jakośmy poczciwe chęci mieli. Przeznaczenie i kwita.

W milczeniu ruszyli z powrotem. Wracała z niefortunnej wyprawy garść zacnych ludzi po tej samej drodze, po której dnia poprzedniego prowadził Zachar. Każda twarz napiętnowana była smutkiem, nikogo nawet nie brała ochota do gawędy. O południu, gdy skwar dopiekł porządnie, pozsiadano z koni, obrawszy zaciszną miejscowość ocienioną wiekowemi drzewami.

— Nie skłamię, jeżeli powiem — ozwał się Tyszka — że pan starosta dość mile na nas patrzeć będzie.

— Skądże waszmości starosta przed oczyma stanął? — rzekł Padyga.

— Jakto skąd? Jużci do domów wracamy, a nie obejdzie się też bez tego, byśmy dostojnego oblicza starościńskiego nie ujrzeli. Samo z siebie wypływa.

— Waszmości z powrotem tak spieszno?

— Spieszno, nie spieszno, ino wedle kalkulacyi wypada, że włóczyć się już nie będziemy.

— A podczaszanka?

— Hm... widzi mi się, co sam zresztą przyznasz waszmość, podczaszankę jeno sam Bóg wyratować może.

— Prawdę mówi pan Tyszka — dorzucił Włobodowski — łotrzyków prawie do jednego wytłukliśmy, herszt ich zasię zbiegł i pono widzieć go na oczy nie będziemy.

Przeciw temu wnioskowi nie miał zasady Padyga oponować, zamilkł.

— Może przecież szczęśliwa sposobność nas na drogę poprowadzi — przerwał Karski. — Skorośmy się poświęcili, wytrwajmyż.

— Ba! łatwo to mówić, mój mosanie — odparł Tyszka. — Łatwo mówić! Ano, powiedz waść sam, zgłębiwszy materyę uważniej, ażali pozostaje nam co inszego do zrobienia, jak do domów wrócić? Gdyby najmniejszy ślad, rzecz całkiem insza.

Gawęda toczyła się leniwie, nikt humoru nie miał, straciwszy wszelką nadzieję odzyskania podczaszanki, frasobliwość objęła wszystkich.

Tyszce wreszcie przyznał słuszność i Padyga,

— Niema co — zakonkludował. — Mamy wracać, wracajmyż, kiedy nam nic innego do roboty nie zostaje.

Z powrotem do domu nikt nazbyt nie spieszył, jechali zatem noga za nogą. Na niebie czystem i pogodnem nagle ukazały się chmury ciemne, ołowiane, wiatr się porwał i jął je pędzić a szarpać na szmaty. W oddali rozległ się głuchy, przeciągły grzmot, brzmiący groźnie, ponuro. Burza snać się zbliżała.

Grzmoty powtarzać się zaczęły coraz częściej, wraz z niemi błyskawice wylatywały z poza opony niebieskiej, rozdzierały ją, krzyżowały się w rozmaitych kierunkach. Wreszcie deszcz lunął, jak z cebra, słowem chaos powstał w naturze... Szlachta popędziła koni, które wystraszone hukiem piorunów, rwały się trwożliwie, boczyły, ledwie ich było można utrzymać w rękach.

— Ano, mamy wreszcie i dachu kęs — wykrzyknął Padyga, jadący przodem.

Stanął przed klecią, w której spotkali szaloną Ołenkę i pierwszy z konia zeskoczył. Za jego przykładem poszli i wszyscy inni, konie powiązali gdzie kto mógł, radzi ze schronienia, jakie się nadarzyło.

Jeden pan Tyszka mruczał niechętny, powiadając, że wolałby jechać, aniżeli chronić się do kleci, w której czarownice niedawno nadybał, rad nie rad wszakże za innymi musiał iść.

Kleć przedzielona była na dwie części, w pierwszej stał komin, na którym jasny płonął ogień, kulbaka leżała końska, obok wytarta opończa. Na opończy siedziały dwie postacie niewieście, obiedwie smutne, zamyślone, nieopodal stał człek młody, a znajomy nam już Ostap.

Padyga, który pierwszy wszedł do kleci, spojrzawszy na kobiety, stanął oniemiały. Karski, Włobodowski i inni nie mniej się zdumieli.

— Albom we śnie, albom rozumu się pozbawił — szepnął Padyga.

— Panna Podczaszanka! — zawołał Karski.

— Panna Podczaszanka! — krzyknęli szlachcice — rzucając się do witania nagle i dziwnym zbiegiem okoliczności spotkanej sieroty.

Otoczono Anielę kołem, zasypano pytaniami, na które dziewczę odpowiadać nie było w stanie, zostając pod nagłem a silnem wrażeniem.

— Znalazła się zguba! — ze łzami w oczach mówił Padyga. — A! doprawdy to cud Boski.

— Myśmy już pannę Podczaszankę za straconą uważali — prawił z ferworem wielkim Tyszka. — Ano, zawdym był tego przekonania, że ją Bóg od złego uchowa.

— Trzeba bowiem pannie Podczaszance wiedzieć, jakim sposobem znaleźliśmy się w tych ostępach — przerwał mu Padyga.

Opowiadać począł historyę wyprawy, postępek starosty, zgoła przygody wszystkie.



Na opończy siedziały dwie postacie niewieście.

— I oto — kończył — w chwili, gdyśmy zwątpili o możności odzyskania panny Podczaszanki, spotykamy ją niespodzianie. Radzibyśmy od panny Podczaszanki usłyszeć, jakim zbiegiem okoliczności tu ją zastaliśmy, co się z nią działo.

— Sama nie wiem — odparła, do siebie przychodząc Aniela. — Tyle zaledwie, żem porwaną została przez zbójów, którzy mnie potem żydowi pewnemu oddali, i byłabym tam do dziś dnia, gdyby nie ten oto — wskazała Ostapa, który na uboczu stał, ponuro przysłuchując się rozmowie.

Wtedy dopiero szlachta zwróciła na niego uwagę.

— Któż to? — zapytał Padyga.

— Ostap głowę podniósł, roześmiał się i odparł z ironią.

— Pytacie pany Lachy kto ja? Nu, ja syn atamana Hriszki, ja łotr taki, jak ci, którychżeście pomordowali, słyszę.

— Znalazła się pomiędzy zbójami jedna uczciwa dusza — rzekł Padyga. — Gdyby nie twój czyn zacny, wisiałbyś pewnie razem ze swoimi kamratami. Widzę przecież, żeś inny człek i z tej racyi upewniam, że nic ci się złego nie stanie.

— Pany jasne, co mi teraz wszystko? Ja pannoczkę żydowi porwał, nu, to prawda, alem porwał nie po to, by wam oddać. Bóg świadkiem nie po to. Pannoczka mi serce wzięła, ja ją... ja... umiłowałem nad wszystko... Co po życiu, gdym ją postradał?

Szlachta śmiechem parsknęła.

— Śmiejcie się, pany jasne, nu, jest z czego... Jam człek prosty, głupi, śmiać się ze mnie wam wolno... a powiadam mimo to, głośno i śmiało, żem pannoczkę porwał nie dla was... Mówię śmiało, nie bacząc, co mnie spotka.

— Waryacisko! — ruszając ramionami szepnął Włobodowski.

— Zostawmy go w spokoju, niech z sobą robi co chce, my zasię, panowie mili, do Stepanowa z powrotem.

— Do Stepanowa! do Stepanowa! — odkrzyknięto gwarnie.

— Tożto się pan starosta zdziwi! — ręce zacierając mówił Padyga. — Skończyło się jego panowanie.

— Niech żyje panna Podczaszanka! Wiwat! — krzyknęli szlachcice ku wyjściu się mając.

Deszcz ustał, hurmem rzucono się do koni. — Padyga wziął Anielę pod swoją opiekę, umieściwszy ją przy sobie.

— Do Stepanowa! mości panowie — zawołał Padyga, ruszając z miejsca.

— Do Stepanowa! Wiwat panna Podczaszanka! — zabrzmiało razem ze wszystkich piersi.

Kleć opustoszała, pozostał w niej Ostap i szalona Ołenka.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Z TYGODNIA.

Choroba ministra Głąbińskiego. Minister kolei Dr Głąbiński przed kilku dniami zasłabł tak, że poddać się musiał w sobotę natychmiastowej operacyi ślepej kiszki. Stan zdrowia ministra Głąbińskiego, który bezpośrednio po operacyi czuł się bardzo osłabionym, znacznie się polepszył. Wszelkie niebezpieczeństwo już minęło. Ostatnie wiadomości zgodnie stwierdzają, że minister Głąbiński we względnie krótkim czasie powróci do zupełnego zdrowia,

Nowe ustawy wojskowe. Dzienniki donoszą. że doszło już do porozumienia między rządem austryackim a węgierskim w sprawie języka w wojskowym procesie karnym. Oskarżony będzie miał odtąd rękojmię większej sprawiedliwości przy wymierzaniu kary, niż dotychczas i będzie miał prawo przybrania sobie na obrońców adwokatów.

Co się tyczy innej ustawy wojskowej, to główne jej zasady są następujące: Wprowadzenie dwuletniej służby wojskowej, podwyższenie kontygentu rekruta do 212.000, zwiększenie liczby podoficerów i żadne powoływanie do ćwiczeń po ukończeniu służby liniowej.

Mili goście w Polsce. Zeszłego tygodnia bawiła w Krakowie sympatyczna wycieczka Słowian, zamieszkałych w południowej Austryi, a więc Słowieńców i Chorwatów. Była to wycieczka poważna, bo wzięło w niej udział wielu posłów słowieńskich na czele ze swym marszałkiem Krainy prof. Szuklje i dziennikarze. Słowieńcy przybyli dla uczestniczenia w założeniu w Krakowie »Towarzystwa Przyjaciół Słowian południowych«. Trzeba zaznaczyć, że Słowieńcy już zeszłego roku założyli u siebie Towarzystwa Przyjaciół Polski, więc należało się, abyśmy także założyli towarzystwo, któreby miało na celu zacieśniać węzły wzajemnej życzliwości i wspieranie się wzajemne. Głównym powodem tego łączenia się braci Słowian i brutalność i zaborczość Niemców, którzy nas gnębią i uciskają coraz bardziej. Powinniśmy tę przyjaźń Słowieńców pielęgnować gorąco, bo wobec tylu i tak mocnych wrogów potrzeba nam przyjaciół jak najwięcej.

Straszne wypadki kolejowe. Dnia 4 maja o godz. 1.30 popołudniu pociąg ciężarowy wyjeżdzający ze stacyi Medyka w stronę Lwowa, najechał na pociąg towarowy, przybywający ze Lwowa. Maszyna i 12 wagonów zostały zdruzgotane, 1 człowiek zabity, 4 ciężko rannych, 10 lżej. Skutki zderzenia były straszne. Lokomotywa pociągu przemyskiego na samem skrzyżowaniu się torów pod stacyą w Medyce uderzyła w koniec pociągu lwowskiego i formalnie wyrzuciła cały pociąg z szyn. Wagony poszły w drzazgi, które siłą uderzenia spiętrzone, sięgały wysokości pierwszego piętra. Wszystkie towary, znajdujące się w wagonach, uległy zniszczeniu. Cały tor kolejowy pokryły różne towary, flaszki, ziemniaki oraz całe kałuże jajecznicy, gdyż rozbił się wagon wiozący jaja za granicę. Śmierć poniósł zegarmistrz kolejowy Seja, który stał na platformie wozu służbowego lwowskiego pociągu i podczas zderzenia został zmiazdżony przez wagony. Jak wysoką jest strata w potrzaskanych wagonach i zniszczonych towarach, dzisiaj podać jeszcze nie można. W każdym razie w przybliżeniu ocenić ją można na kilkaset tysięcy koron.

W tym samym dniu w Czechach koło stacyi Wildenschwert wpadł pociąg towarowy wskutek usunięcia się nasypu przy oberwaniu chmury na drugi pociąg towarowy, wskutek czego sześciu kolejarzy zostało zabitych, trzech ciężko rannych.

KRONIKA.

Plaga chrząszczy. Chrabąszcze majowe rozmnożyły się w tym roku nadmiernie. Z wielu okolic powiatu krakowskiego donoszą o strasznych spustoszeniach w sadach i lasach liściastych. Owoców z drzew tu i ówdzie z liści ogołoconych spodziewać się nie można.

(W. Ż.) **Straszny wypadek** zdarzył się w Zatorze dnia 25 kwietnia b. r. Jadący samochód czyli omnibus z okolicy Krakowa najechał na gościńcu w Zatorze chłopca sześcioletniego i poszarpał go w straszny sposób. O ile wiadomo, ów chłopiec, chcąc okazać swoją śmiałość, gdy ujrzał, że samochód blisko, powiedział do swych rówieśników, że przeleci jeszcze w poprzek gościńca, a oni mu mówią:

— No przeleć!

Chłopiec zaraz począł biedz, ale niestety wpadł biedak pod wielki wóz samochodu, który zdruzgotał go w okropny sposób, zdzierając mu z głowy całej skórę z włosami, odwalając w tył ręce i nogi, pokaleczyło bok biedaka. Tutejszy Dr. Józef Tarchalski opatrzył biedakowi okropną ranę, zaszywając mu ją, ale choć to doktor sławny w tutejszym obrębie zatorskim, nie mógł już powrócić chłopca do zdrowia, pomimo najlepszej chęci. Chłopiec nazajutrz rano o 5 zmarł z powodu strasznego wstrząśnienia mózgu. Samochód zabrano do odpowiedzialności przed magistrat, ale właściciel jego wytłómaczył się, że nie winien nic temu nieszczęściu, dobrowolnie jednak złożył, o ile mi wiadomo, 600 koron na tego chłopca. Sprawa ta ma iść na sąd, jak się skończy, to jeszcze nie wiadomo.

(W. Ż.) **Wielkie nieszczęście** zdarzyło się dnia 4 maja pomiędzy 5 a 6 godziną popołudniu. Nadeszła bowiem od północy chmura z grzmotami, błyskawicami i deszczem nawalnym. Ku zdziwieniu wielkiemu uderzył piorun w nowo budujący się dom szkolny, tam gdzie byli właśnie robotnicy zajęci tynkowaniem ścian. Uderzenie nastąpiło w kalenicę nad tak zwanym fajermurem, wyrządzając dziwne gzygzaki na domu szkolnym. Naprzód z góry, na końcu kalenicy, od strony zachodniej, potargało »fajermur« nie cały tylko częściowo, bo ino do okienka pękł na strychu a zaś całą jednę stronę krokiewki rozłupało od końca do końca, nic nie szczędząc. Następnie wskoczył na strych, pod drzewo stojące pod płatwią, odrzucił drzazgi na odległość 4 metrów, a to wszystko w stronę północną: potem oderwał w sieni, ale z pola, kawał tynku z murem, przy oknie wyskoczył ścianą w sieni i wleciał do klasy, targając tam jedno okno. Na strychu były dwa okna, to je połupał. Ogółem narobił piorun szkody około stodwudziestu koron. Piorun poraził dość ciężko Jana Nowotarskiego, cieślę z Palczowic, Mazurkiewicza, stolarza z Zatora, murarza Wawro z Graboszyc i dwie dziewczyny z Palczowic: Józefę córkę Jana Nowotarskiego i Annę Franaszkównę. Biedacy schronili się przed deszczem, ale nie schronili się przed nieszczęściem. Pan doktor Józef Tarchalski, który natychmiast przyjechał, udzielił im zaraz pomocy lekarskiej, więc jest nadzieja, że przyjdą do zdrowia.

Pożar. (S. W.) W dniu 5 maja wybuchł pożar w gminie Wiskitna, w powiecie grybowskim. Na miejsce wypadku przybyła straż pożarna Kółka rolniczego z Polnej ze swoim naczelnikiem z p. W. Pierzchałą. Dzięki energicznej czynności p. Pierzchały, jak również zastępcy naczelnika J. Rumana, udało się ogień zlokalizować i nie dopuścić na sąsiednie budynki. Spłonęły dwa domy wartości 4000

koron, które niestety nie były ubezpieczone. Zaznaczyć należy, że straż pożarna, chociaż po raz pierwszy miała sposobność być czynną przy pożarze, wywiązała się ze swego zadania świetnie, opanowując groźny żywioł w jednej chwili. Zakładajmy straże pożarne i ubezpieczajcie swoje zabudowania, bo nie wiemy dnia ani godziny, kiedy nieszczęście nastąpić może!

(A. Cz.) **Uroczystość parafialna.** W niedzielę dnia 23 kwietnia odbyło się w Grojcu, na Śląsku, uroczyste przeniesienie Matki Boskiej ze starego kościółka do nowego, ślicznie wybudowanego. W tej uroczystości wziął udział Związek chrześcijańskich robotników z Jasienic, który przybył ze sztandarem. W tym dniu uroczystym pogoda sprzyjała, więc i ludzi zebrało się liczne grono: przybyło kilkaset z całej parafii i okolicy. O godz. 3 popołudniu ruszyła procesya od nowego kościoła do starego kościoła, gdzie się odbyło uroczyste przeniesienie obrazu Matki Boskiej. Przed wyniesieniem przemówił w gorących słowach ks. Józef Lomozik, miejscowy proboszcz, i dziękował za odebranie tylu łask, które zostały udzielone przez Syna Bożego za przyczynieniem się Matki Boskiej za nami. I prosił Ją, aby nadal raczyła się wstawiać za nami u Syna swego, Jezusa miłego, aby nam udzielał łask obficie i swojego błogosławieństwa w tym nowym kościele. Potem dziękował Związkowi chrześcijańskiemu za przybycie i całemu ludowi za przywiązanie do Matki Boskiej i do wiary świętej. Naostatku odśpiewano kilka pieśni i odmówiono litanię do Matki Boskiej i zakończono tę uroczystość.

Straszny wypadek we fabryce. Z Sosnowca w Królestwie Polskiem donoszą, że w tamtejszej walcowni żelaza roztopione na płyn żelazo spaliło żywcem robotnika Dąbrowskiego. Straszna ta śmierć wywołała w całym Sosnowcu żywe współczucie, a wypadek przeraził mieszkańców tem bardziej że właśnie na parę dni przedtem w tamtejszej kopalni węgla czterech robotników straciło życie skutkiem uduszenia gazami. Ciężka to dola robotnika fabrycznego, kolejowego, czy w kopalni. Prawda, że zwłaszcza we fabrykach, gdzie życiu zagraża niebezpieczeństwo, pobierają oni dość wysoką stosunkowo płacę, ale też zato biedacy nigdy życia nie są pewni. O ileż przyjemniejszym jest żywot nawet ubogiego rolnika i milszą praca nie wśród huku kół, wśród gryzącego dymu i pyłu, ani w podziemiach kopalni, ale pod błękitnem niebem i życiodajnymi promieniami słońca!

Nie uratował wisielca! Dzielny maszynista prowadził przed kilku dniami pociąg pospieszny na Węgrzech koło miejscowości Gross-Kanicsa. W pewnem miejscu z powodu, że tor kolejowy podnosił się w górę, pociąg szedł wolniej. Maszynista stojący na lokomotywie, baczny na wszystko dookoła, ujrzał nagle, że w niewielkiej odległości człowiek jakiś powiesił się właśnie na drzewie w ogrodzie przed domem. Co dopiero odtrącił nogą stołek, na który wyszedł, aby się powiesić. Dzielny i szlachetny maszynista, mimo że jako prowadzący pociąg popełniał przestępstwo, wstrzymał jak mógł najrychlej lokomotywę i popędził na ratunek nieszczęsnemu wisielcowi. Przybył jednak zapóźno: na nic nie zdały się usiłowania przywrócenia do życia biedaka; serce już ustało i oczy zaszły bielmem. Wielu podróżnych wybiegło z wagonów, ratując również powieszonego. Gdy jednak nic już wskórać nie mogli, a obowiązek nakazywał maszyniście wejść z powrotem na lokomotywę i puścić pociąg w ruch, zbudowani jego szlachetnością podróżni, zaczęli z zapałem wołać: Niech żyje dzielny i zacny człowiek!

Walka z wartą wojskową. W kwietniu przejeżdżało przez Wiedeń kilkudziesięciu wychodźców rosyjskich z guberni kijowskiej, dążąc do Ameryki. Jeden z nich posprzeczał się z towarzyszami, ci zagrozili mu, że go zbiją; z obawy więc przed nimi pewnego wieczoru umknął ze wspólnej kwatery, mieszczącej się przy biurze podróżnem. Błąkał się po mieście dłuższy czas, wypił parę kieliszków wódki w szynkach na pociechę w tem strapieniu, zaszedł do jakiegoś miejsca, gdzie był trawnik i rosły drzewa i położył się, chcąc się przespać. Lecz nim usnął, posłyszał kroki i w świetle księżyca ujrzał zbliżającego się żołnierza. Zamroczony wódką i senny sądził snać, iż jest jeszcze w Rosyi i chcą go aresztować, porwał więc jakąś deskę i rzucił się z nią na żołnierza, chcąc mu równocześnie wyrwać karabin.



Wśród tego nadbiegł drugi żołnierz, wywiązała się walka, wychodźca rosyjski dostał przytem parę razy kolbą, lecz ostatecznie ujęto go i odstawiono do aresztów policyjnych. Całe zajście powstało stąd, że w pobliżu miejsca, gdzie podróżny się ułożył, był wojskowy magazyn, żołnierz chodził na warcie, a spostrzegłszy obcego zapytał, co za jeden. Oszołomienie wódką spowodowało, że wychodźca rozpoczął walkę z wartą, co przedstawia nasz obrazek.

Płonąca ulica. W ubiegłym tygodniu w Wiedniu na jednej z szerokich i kamieniami wybrukowanych ulic, wybuchł niezwykły pożar. Nie zapalił się dom żaden, ani sklep, nie powstał ogień w piwnicy, lecz na przestrzeni kilkunastu metrów na środku ulicy z pomiędzy kamieni brukowych, zaczęły się dobywać płomienie i płynęły szeroką ławicą za podmuchem lekkiego wiatru. Wypadek zdaje się nieprawdopodobny, bo kamienie palić się nie mogą, przyczyna jednak jego będzie bardzo prostą i zrozumiałą dla każdego, kto wie, że duże miasta oświetla się gazem. Gaz do świecenia prowadzony jest rurami, biegnącemi pod ziemią wzdłuż ulic; od rur tych zaś idą cieńsze rurki do latarni, sklepów i domów prywatnych. W lampach gazowych, gdy się kurek odkręci i przytknie płonącą zapałkę, uchodzący gaz zaczyna się palić żywym płomieniem. Otóż na ulicy, na której powstał ogień, pracowali robotnicy przy rurach wodociągowych; zaczęli zrywać bruk, gdy nagle od rzuconego niedopałka papierosa poczęła palić się ulica pod ich nogami. Gdy przybyła straż pożarna i ogień ugaszono, przekonano się, że powodem wypadku było pęknięcie rur gazowych, położonych pod brukiem. Przez ich szczeliny wydobywał się gaz, który, gdy wrzucono w to właśnie miejsce tlejący niedopałek papierosa, buchnął odrazu płomieniami.

Dwunastoletnia dziewczyna chciała się zastrzelić! W Wiedniu 12 letnia córeczka robotnika fabrycznego z obawy przed karą za zgubienie 4 halerzy, gdy była sama w mieszkaniu, w przystępie dziecinnej rozpaczy wystrzeliła do siebie z rewolweru. Na szczęście rana dziewczynki nie jest nie-

bezpieczną. Ojciec, gdy wrócił do domu, szczęśliwy, że dziecko żyje i wyzdrowieje, rewolwer precz wyrzucił. Z tego wypadku płynie przestroga, aby zostawiając dzieci same, przedmioty, któremi mogą się skaleczyć lub zabić chować, pod klucz — no i nie obchodzić się z dziećmi zbyt surowo... Bo owa dziewczynka musiała się jednak strasznie bać gniewu rodziców z powodu zgubienia 4 halerzy, kiedy aż targnęła się na życie!

Dzieci szkolne ocaliły 7-letniego chłopca. W Wiedniu, na brzegu kanału Dunaju bawiło się kilku chłopców, a opodal parę dziewczynek. Między chłopcami, jak to zwykle bywa, podczas najweselszej zabawy przyszło nagle do sprzeczki. Jeden z towarzyszy uderzył siedmioletniego Józefa Kramarcica tak silnie w nos, że puściła się krew, chłopiec więc zeszedł ze schodów, prowadzących do kanału i nachylił się, aby zaczerpnąć dłonią wody, gdy wtem pośliznął się i wpadł w fale.



Ujrzawszy to bawiące się obok dziewczynki, podniosły krzyk, że dziecko tonie, w tym momencie nadbiegli trzej dwunastoletni mniej więcej studenci, jeden, położywszy się na najniższym stopniu, podał dziecku rękę, drugi i trzeci trzymał wybawiciela, aby sam nie wpadł do wody i w ten sposób wkońcu małego Józia wydobyli z kanału, wyrywając go niechybnej śmierci. Obrazek nasz przedstawia tę chwilę, a obok podobizny trzech dzielnych wybawców, pośród których stoi najmniejszy — uratowany.

Cudowny rabin. Podobnie jak cyganie, którzy wróżąc z ręki, durzą łatwowiernych ludzi, przepowiadają im przyszłość, oraz leczą »cudownymi« sposobami chorych, za co każą sobie dobrze płacić, czynią to również i niektórzy rabini. Ciemne tłumy żydów zaś bezgranicznie ufają takim rabinom, znoszą im pieniędzy co niemiara, a koniec bywa taki, że »cudowny« rabin uleczy niekiedy chorego środkami prostymi przy dodaniu jednak tajemniczych zaklęć, albo — i to najczęściej — wcale nie uleczy, uspokajając rodzinę, że Jehowa (Bóg) tak chciał, a grzechem byłoby mu się sprzeciwiać. W każdym wypadku »cudowny« rabin dobrze sobie kieszenie wyładowuje pieniądzmi. Jest taki rabin także w jednem miasteczku na Węgrzech. Gospodarz pewien, który miał syna, co przed 14 laty stracił mowę, postanowił udać się do niego o poratunek. Rabin kazał chłopakowi uchwycić się z całej siły stołu a następnie począł krzyczeć mu do ucha piorunującym głosem po żydowsku jakieś słowa zaklęcia. Chłopak omal nie zemdlał pod wpływem przestrachu i przerażenia, lecz odzyskał mowę. Wypadki takie odzyskania mowy lub też władzy w nogach przez paralityków, pod wpływem strachu znane są dobrze i już się wydarzyły niejednokrotnie. Jest to rzecz nie nowa i praktykowana nieraz przez poważnych lekarzy. Sprytny rabin wiedział o tym sposobie, lecz aby wieśniaka obałamucić, wrzeszczał żydowskie zaklęcia, wywracał oczyma i pienił się, niby to pod wpływem jakiejś cudownej mocy i dokazał swego. Ale lekarz w takim wypadku otrzymałby tylko należytość za wyleczenie; ów rabin zaś pociągnął dobrze uradowanego ojca, który zapłacił i za wyleczenie i za — cud.

Wesoła sekta. Na Kaukazie powstała sekta religijna, nosząca nazwę „religia próżniactwa". Prorok jej ogłosił, że ludzie winni pracować tylko przez 3 dni w tygodniu, a nie więcej. Znalazł całe rzesze wyznawców. Wszyscy oni zobowiązują się pracować tylko 3 i pół dnia, a przez drugą połowę tygodnia wypoczywać. Za dni robocze uznano wtorek, środę i czwartek. Sekta rozszerza się szybko. Ochoty do próżniactwa nie braknie na świecie.

Panna w spodniach. Pewna 24-letnia wysoka i barczysta, o dużym, grubym nosie i męskich rysach twarzy szwaczka w Berlinie, oddawna była napastowana na ulicach przez mężczyzn z powodu, że ci brali ją za przebranego w suknię młodego człowieka. Awantury te parę razy opierały się o policyę. Stójkowy doprowadzał napastnika na żądanie owej szwaczki na inspekcyę policyjną, gdzie dziewczyna, mająca na swe nieszczęście męskie rysy, gruby głos i pokaźne barki, żaliła się na niepokojenie jej na ulicy. Wobec tego policya berlińska, aby zakończyć wreszcie te zajścia i zapewnić szwaczce spokojny powrót z pracowni do domu, pozwoliła jej wyjątkowo ubierać się po męsku.

Walka bandy bułgarskiej z wojskiem tureckiem. Półwysep bałkański należy do najbardziej niespokojnych krajów w Europie. Ciągle powtarzają się tam najrozmaitsze krwawe rozruchy; niema prawie dnia, aby telegramy nie donosiły o wypadkach, nie zdarzających się nigdzie zresztą podczas pokoju, chyba w krajach dzikich, w Afryce lub innych częściach świata, gdzie porządek i spokój nie jest ustalony, dzięki cywilizowanym i energicznym rządom. Szczególnie na granicy bułgarsko-tureckiej zdarzają się w ostatnich czasach częste starcia między ustawicznie grasującemi bandami bułgarskiemi a oddziałami pogranicznych wojsk tureckich.



W ostatnich tygodniach stoczyło wojsko tureckie dwie potyczki z bandami bułgarskiemi, które rozpoczęły ostrzeliwać Turków ze skalistych wzgórz, skutkiem czego po kilkugodzinnej walce zostało na placu boju z obu stron po kilkanaście trupów, a kilkudziesięciu ludzi odniosło rany. Obrazek nasz przedstawia jednę taką bitwę między bandą bułgarską a kompanią wojska tureckiego, stoczoną na dzikim, górzystym pasie granicznym, dzielącym oba państwa.

Pojedynek dzieci. Wiadomo, że Włosi, jak wogóle narody południowe, mają gorącą krew; do zwady między nimi przychodzi łatwo, a skoro idzie o dziewczynę, to i ostry sztylet błyśnie groźnie w ręce zacietrzewionego kochanka! Jacy starsi — tacy młodzi. Dwom malcom w Rzymie o coś poszło i tak się na siebie rozsierdzili, że 10-letni Franciszek Lombardi wyzwał na pojedynek 12-letniego Oktawiana Sabbatiniego. Świadkami byli czterej malcy

w tym samym wieku co przeciwnicy. Sabbatini uzbroił się w gruby drut od parasola, — Lombardi w laskę. Pojedynek odbył się wczas rano na pustej odludnej uliczce. Po krótkiej walce 12-letni Sabbatini wbił 10-letniemu przeciwnikowi swój drut w lewą skroń, skutkiem czego nieszczęsny malec w parę godzin w szpitalu ducha wyzionął.

Dzikie morderstwo. Bandyci włoscy nietylko są niesłychanie zuchwali — o czem już pisaliśmy w naszej gazetce — lecz często i okrutni wobec swoich ofiar. Nie dość, że obrabowanemu odbierają życie, ale niejednokrotnie w nieludzki sposób pastwią się nad nim. Taki wypadek zdarzył się niedawno w pewnej włoskiej wsi. Do jednego włościanina zakradło się w nocy trzech zamaskowanych drabów; gospodarz nie spał jeszcze, posłyszał więc na obejściu kroki i przyciszoną rozmowę. Bał się zrazu wyjrzeć, lecz gdy doszło do jego uszu skrzypienie drzwi od stajni, w której miał dwa muły (zwierzę pochodzące ze skrzyżowania konia z osłem) wybiegł z nożem na łotrów.



Ci wszakże łatwo go ubezwładnili, skrępowali mu nogi i przywiązali je do ogona muła. Zwierzę wystraszone puściło się galopem w ciemną noc z nieszczęsnym swym właścicielem, który tłukąc głową o kamienie w straszliwej męce ducha wyzionął. Nazajutrz na polach złapali ludzie muła, który wlókł przywiązane do ogona i pokrwawione okropnie ludzkie zwłoki. Dano zaraz znać karabinierom (żandarmom), ci wzięli się energicznie do szukania złoczyńców i w parę dni ich ujęli. Obrazek nasz przedstawia, jak ofiara dzikości bandytów, ciągniona i szarpana przez pędzącego muła, wlecze się po ziemi — już bez ducha.

Spadek posła. O śmiesznem zdarzeniu opowiada pewna gazeta niemiecka. W pobliżu Sztuttgartu w Niemczech południowych, zmarł pewien krawiec, tak zakochany w pośle swojego okręgu do parlamentu niemieckiego, że uczynił go w testamencie swoim spadkobiercą. Poseł nie miał nic przeciwko przyjęciu tego spadku nieoczekiwanego i otrzymał po zapłaceniu kosztów spadkowych oraz stempli na czysto 1400 marek. Po pewnym jednak czasie zjawia się u niego kobieta w żałobie, oświadczając, że jest rozwiedzioną żoną zmarłego i choć nie ma prawa do spadku po byłym swoim mężu, to jednak liczy na wspaniałomyślność spadkobiercy. Współczujący poseł wypłacił tedy bez zachodu szczególnej wdowie połowę spadku, pozostało mu więc 700 marek. Wkrótce jednak potem otrzymuje pismo urzędowe od magistratu miasta E., że zmarły krawiec pobierał od miasta w ciągu lat ostatnich wsparcia ogółem w kwocie 400 marek, a ponieważ pozostawił spadek, kwota powyższa musi być zwrócona magistratowi. Trudna rada, poseł, jako sumienny stróż prawa, zapłacił żądaną kwotę i pozostaje z 300 markami. Aliści przed kilku dniami otrzymuje z poczty list i paczkę. Otworzywszy jedno i drugie znajduje rachunek i słój szklany z popiołem. Okazało się, że krawiec rozporządził przed śmiercią, aby jego zwłoki spalono w palarni ciał, przysyłą więc spadkobiercy rachunek na kwotę 288 marek 75 fen. i popioły zmarłego. Z całego spadku pozostało posłowi 11 marek 25 fen., oraz słój popiołu. Kto wie jednak, czy i po tę resztę ktoś się nie zgłosi. Dla objaśnienia należy dodać, że od niedawna lutry i masoni wymyślili palenie zwłok po śmierci, zamiast odbywania pogrzebu i składania zwłok w świętej ziemi. Nieboszczyków palą w osobnych budynkach, zwanych krematoryami czyli palarniami i sute pieniądze biorą za tę nieprzyjemną ceremonię.

Zapalczywy żeglarz. Gazety francuskie opowiadają o niezwykłym wypadku, którego przyczyną była zazdrość pewnego marynarza w mieście Marsylii i zemsta za zdradę małżeńską. Żeglarz nazwiskiem Giudicelli udał się przed rokiem z Marsylii w długą podróż morską, pozostawiając niedawno poślubioną młodą żonę i pokaźny mająteczek. Gdy po paru miesiącach powrócił do domu, zastał swe ognisko rodzinne zupełnie rozbite. Żona straciwszy z kochankiem jego mienie, roztrwoniwszy wszystko, co tylko jakąkolwiek posiadało wartość, opuściła dom. Dowiedziawszy się nakoniec od znajomych, gdzie przebywa, nie dziw, że ujrzawszy ją wpadł w niepohamowany gniew. Gdy kobieta na jego obelgi również nie pozostała mu dłużną i kłótnia się zaogniła, rozszalały złością marynarz podczas szamotania się z żoną odgryzł jej nos! Nie koniec na tem. Tak zeszpecona niewiasta mogłaby, udawszy się do uczonego doktora, nos odzyskać, bo teraz już lekarze-chirurdzy umieją zgrabnie przyprawiać części ciała, które się potem zrastają, ale pijany gniewem mąż nietylko, że jej nos odgryzł, lecz go i połknął odrazu. Tak boleśnie odpokutowała płocha kobieta niewierność i roztrwonienie majątku męża. Ten zaś po owej awanturze gdzieś zniknął jak kamień w wodzie i władze go ująć nie zdołały.

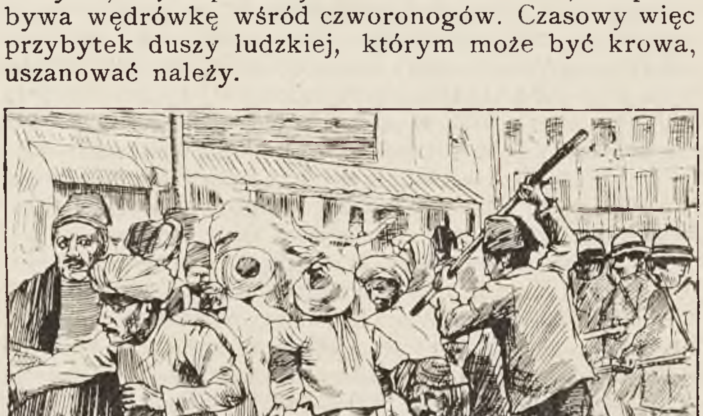
Drogie perły. Przed kilku tygodniami żona porucznika angielskiej gwardyi konnej, Kamerona, zawiadomiła policyę londyńską, że zrabowano jej na ulicy naszyjnik z pereł wartości sto tysięcy koron. Policyi wydało się podejrzanem, aby naszyjnik tak drogocenny noszono przy stroju spacerowym, p. Kameronowa jednak oświadczyła, że otrzymawszy naszyjnik w spadku, obiecała nosić go codziennie. Tłumaczenie to uznano za wystarczające, a Towarzystwo ubezpieczeń od rabunków, w której klejnoty p. Kameronowej były ubezpieczone, wypłaciło jej wartość naszyjnika. W tych dniach jednak aresztowano niespodzianie tak porucznika Kamerona, jako też jego małżonkę, policya bowiem, przeprowadziwszy śledztwo tajne, doszła do przeświadczenia, że rabunek był udany, porucznik bowiem znajdował się w kłopotach finansowych, przypuszczają więc, że chciał wejść w posiadanie wysokiej kwoty, na jaką naszyjnik był ubezpieczony, dla zapłacenia długów. Brzydka sprawa wydała się i słusznie winni za nią odpokutują.

Czem się ludzie trudnią? Ostatni spis ludności w Londynie przyniósł ciekawe wiadomości o kilku zajęciach, którym ludzie poświęcają się zawodowo. Pewna starsza kobieta podała w rubryce »zatrudnienie« — »sprzedawaczka czasu«. Jak można czas sprzedawać? To chyba żart! A jednak w istocie są ludzie, którzy trudnią się dostarczaniem zegarmistrzom ścisłych wiadomości, która godzina według najlepiej idącego publicznego zegaru w Londynie, za co pobierają pewne wynagrodzenie. Są też zawodowi »dopełniacze«. Wyraz ten oznacza człowieka, który ma obowiązek dopełniania przy licytacyi rozmaitych braków, a więc: jeśli do tuzina wystawionych na licytacyę filiżanek brakuje jednej

filiżanki lub spodka, obowiązany jest uzupełnić ten brak i wynaleźć taką filiżankę lub spodek. Do osobnych zajęć należy także zawód wymieniacza drobnej monety. Zbieranie ślimaków i żab, sprzedawanych do zakładów naukowych, ma też swych przedstawicieli w Londynie. Za tysiąc ślimaków pobierają oni 4—6 koron; żaby płacone są lepiej, gdyż za setkę otrzymują 4 korony. Do najlepiej opłacających się zajęć należy jednak zawód pisarza listów miłosnych.

Choroba snu. Sen, jak wiadomo, jest poważnem pokrzepieniem dla człowieka, równie ważnem jak pożywienie. Bez snu, podobnie jak bez jadła, żyć nie można. Sen jednakowoż może być i chorobą i jako taka grasuje od pewnego czasu w niektórych krajach Afryki. Dotknięci »afrykańską śpiączką« ludzie trwają w takim chorobliwym śnie całe tygodnie. Śmierć często kończy tę niezwykłą chorobę. Podobny wypadek zdarzył się w zeszłym tygodniu i u nas w Polsce, mianowicie w Poznańskiem. W mieście Pile opanowała pewnego robotnika afrykańska śpiączka. Gospodarzowi domu, u którego ów robotnik mieszka, wydało się wielce podejrzanem, że nie wychodzi ze swej stancyi od kilku dni. Ponieważ drzwi były zamknięte, przeto gospodarz je wyważył i zdumiał się na widok, jaki mu się w izbie przedstawił. Robotnik napół rozebrany leżał na wznak na łóżku i chrapał głośno, pogrążony w twardym śnie. Wszelkie jego zabiegi oraz sąsiadów o przebudzenie śpiącego spełzły na niczem. Wołano na niego po nazwisku, cucono wodą, podnoszono, wszystko na nic. Dotknięty śpiączką chrapał dalej. Wkońcu odwieziono go do szpitala, gdzie lekarze odżywiają go sztucznie, aby z głodu nie umarł, dotąd jednakże przebudzić go nie zdołali.

Walka o „świętą“ krowę. W Kalkucie, stołecznem mieście Indyi, w Azyi, rozegrała się przed paru tygodniami na jednej z ulic krwawa walka między Mahometanami a Hindusami, przyczem wojsko angielskie, dla rozbrojenia walczących, musiało użyć bagnetów i wiele ludzi zostało ciężko rannych. Początek zajściu dało to, że Mahometanie prowadzili do świątyni krowę, którą dla dopełnienia zwykłych swych religijnych obrzędów, mieli tam zarznąć na ofiarę. Dowiedzieli się o tem Hindusi, wyznający religię Brahmy, która zakazuje zarzynania i spożywania zwierząt, jako ciężkiego grzechu. Krowa, wół czy koń jest dla nich »świętem« zwierzęciem, gdyż, wedle ich wierzeń, dusza ludzka, zanim człowiek ją otrzyma, często pokutuje w ciałach zwierząt, lub przebywa wędrówkę wśród czworonogów. Czasowy więc przybytek duszy ludzkiej, którym może być krowa, uszanować należy.



Gdy pochód z krową się zbliżył, setki Hindusów, uzbrojonych w kije i broń, rzuciło się na Mahometan, którzy zażarcie się bronili, i wywiązała się krwawa walka, przedstawiona na naszym obrazku. Po dłuższym czasie i obfitym krwi rozlewie, udało się wreszcie wojsku rozgonić zacietrzewionych wrogów. — Katolik ze wzruszeniem ramion czyta o tych religijnych obrzędach pogańskich i o krwawych skutkach, jakie zawiści religijne tych ludów powodują, żałując, że tyle milionów ludzi żyje jeszcze w mocy zabobonów i przesądów, i że oczy ich duszy zamknięte są jeszcze na światło prawdziwej, objawionej wiary!

Miasto nicponiów zamierza utworzyć parlament amerykańskiego stanu Nebraska. Według wniesionego projektu osiedlanoby wszystkich nicponiów, próżniaków, włóczęgów, pijaków i wogóle wszystkie osoby będące ciężarem dla społeczeństwa, w jednem odosobnionem mieście. Chodzi tu o ludzi takich, których sądy nie są w możności skazać na pozbawienie wolności, gdyż zbrodni nie popełnili, którzy wszakże są bezużytecznym ciężarem współobywateli. Miasto, w którem mieściłaby się owa kolonia, znajdowaćby się musiało zdala od siedzib ludzkich, aby osiedleńcy byli zupełnie odosobnieni. — Wyrabiane przez kolonistów miasta nicponiów przedmioty nie byłyby przeznaczone do handlu, lecz przechodziłyby na własność zarządu stanu. Specyalny paragraf upoważnia sądy do skazywania w odpowiednich wypadkach na wygnanie do owej kolonii nicponiów, skrócenie zaś czasu wygnania uzależnionem jest zachowaniem się i poprawą skazańca. Jest to projekt godny urzeczywistnienia a wprowadzenie go w życie przydałoby się nietylko w stanie Nebraska.

Dwieście kandydatek na żony! Pewien pułkownik amerykański, nie pierwszej już młodości jegomość, lecz niezmiernie bogaty, posiadający kilkanaście milionów dolarów majątku, postanowił się ożenić. Żadna ze znajomych panien i młodych wdówek mu się nie podobała, podał więc do gazet ogłoszenie, iż pragnie wejść w związki małżeńskie. Skutek ogłoszenia był nadzwyczajny: już w ciągu pierwszego tygodnia otrzymał dwieście listów od najrozmaitszych panien i pań. W listach, do których były załączone ich fotografie, każda oświadcza mu, że jej się bardzo podoba, każda zachwala swe cnoty, dobroć, łagodność, urodę i t. p., aby tylko zechciał na nią zwrócić uwagę i uszczęśliwić ją wyborem. Pokazało się, co to pieniądz może; rzecz prosta, że tylko jego miliony tak tym paniom się spodobały, nic więcej. Choćby był zgrzybiałym starcem i brzydkim jak dyabeł, tak samo zgłosiłyby się setki pań w odpowiedzi na jego ogłoszenie. Niemały kłopot ma pułkownik z tymi listami; urosła już ich góra w ciągu paru dni — i koniec końcem żadnej ze zgłaszających się dotąd nie wybrał. Skorzystały z tego zabawnego wypadku gazety amerykańskie i umieściły podobiznę jego twarzy w otoczeniu dziesiątek główek nadobnych panien, z których każda pragnęłaby posiąść jego miliony. Tak to na grube pieniądze lecą kobiety w Ameryce, a z pewnością nie mniej jak i w Europie i wszędzie indziej, i u nas także. Ciekawa tylko rzecz, kto na nie bardziej łakomy: czy mężczyźni, czy kobiety. Wartoby sprawdzić, czy na ogłoszenie starej i brzydkiej a bogatej kobiety nadesłałoby tyle mężczyzn prośby, by się za nich wydały, ile kobiet ogłosiło się jako kandydatki na żony, gdy milioner potrząsł kiesą złota. Zdaje nam się, że próba taka wypadłaby na niekorzyść mężczyzn jako bardziej na grosz chciwych. Jak sądzicie Czytelniczki?

O słynnych żarłokach. Historya opowiada nam o niektórych znakomitych ludziach, którzy obok znakomitych przymiotów odznaczali się nadzwyczajnym apetytem. Do takich należał także nasz poeta Mikołaj Rej z Nagłowic, o którym pisze autorka jego życiorysu, Klementyna Tańska, że zjadał zwykle dwojakie zupy. Na zapytanie, co woli, barszcz czy czarninę, odpowiedział:

— Barszcz — ojciec, czarnina — matka, a ja jako dobry syn oboje zarówno kocham — i zjadł z równym apetytem barszcz i czarninę.

A dalej wylicza Tańska zjadane przez Reja porcye, które nam się wydają nieprawdopodobne: Indyk, parę kurcząt, misę jabłek. Niemożliwym wydaje nam się taki apetyt i nie byłby nam bynajmniej pożądany wobec dzisiejszej drożyzny. Prawdziwym królem żarłoków był sławny i wielki król francuski Ludwik XIV, na którego dworze przeszło trzysta ludzi było zajętych przysposabianiem uczt królewskich. Już o 10 rano zwykł był król Ludwik jeść obiad, a chociaż jadał zwykle w samotności, to jednakże kazał sobie podawać ogromną ilość potraw. Zwykły obiad składał się z następujących potraw: Pierwsza zupa z czterech kapłonów, druga zupa z kuropatw; po tych zupach podawano »małe zupy«: zupę z gołębi i inną z kogucich grzebieni. Po zupach podawano małe potrawy, służące do podniecenia apetytu, jako to: sałaty, pasztety; poczem następowały większe potrawy: pieczeń n. p. cielęca 20-funtowa, kuropatwy, kurczęta, indyki i kapłony. Owoce na dwóch misach, torty owocowe, konfitury i kompoty stanowiły zakończenie uczty. Pomimo tak sutego obiadu kolacyę zjadał również nader obfitą, złożoną z kapłonów, kuropatw, mięsa skopowego, cielęcego i jarzyn. W czasie postnym zjadał Ludwik XIV niesłychane ilości ryb i zup mlecznych i nazywał to postem. I podczas nocy, obawiając się głodu, zjadał czasem trzy bochenki chleba i popijał wino i wodę.

Dziw przyrody. W jednej z wiosek Dolnej Austryi urodziły się dwa zrośnięte z sobą prosięta o jednej głowie. Niezwykły ten dziw przyrody przyszedł na świat żywy, matka go jednak zaraz przygniotła i udusiła. Właściciel przywiózł podwójne prosię do Wiednia do zakładu weterynaryi, gdzie jako osobliwy dziwoląg będzie przechowywane w spirytusie.



Ciekawem jest, że straż skarbowa na rogatce, mimo, iż wieśniak przedstawił im to niezwykłe prosię jako niezdatne do jedzenia i wyjaśnił, że zamierza oddać je do zakładu naukowego, nie uwolniła go od podatku spożywczego! Obrazek nasz przedstawia ten dziwotwór, oglądany w Wiedniu przez wielu ciekawych niecodziennego kaprysu przyrody.

Odpowiedzi Redakcyi.

Redakcya nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

T. Gromek w S.: Za rady i uwagi dziękujemy, zastosujemy się do nich, o ile możności. Dodatek wyborczy, jakiego Pan sobie życzył, już zaczęliśmy wydawać. — Jan Głowacz w Ż.: Zagadki, jak zwykle, dobre. Musiała zajść pomyłka. — Fr. Pietyra w K.: Nie my winni tylko los, który nie chce przyznać nagrody. — Michał Dudek w Ż.: Cierpliwość to wielka cnota. — Adam Jesionek w Ch.: Wiersze otrzymaliśmy — dobre. — Wojciech Węgliński w B.: Wierszyk do Maćka, pomimo że ucieszny, do druku się nie nadaje. — Andrzej Wróbel w K.: Wiersz p. t. »Na Skałce« przyszedł zapóżno, aby tego roku mógł być drukowany i schowamy go na przyszłość. — Wicek Kondyra z R.: Listu do Maćka nie wydrukujemy. Wojciech Jaworski w Ch.: Obecnie nadesłany wierszyk dobry. — Antoni Kościelny w Sz.: List zapewne gdzieś zginął w drodze, co zdarza się, niestety, dość często. — Stefania Szybowiczówna w S.: Owszem, my jesteśmy przeciwnego zdania: wierszyk ładny, miły i jeszcze raz ładny. A jak on mile będzie wyglądał w druku, zobaczy Pani. — Wojciech Kapera w K. L.: Jeżeli »Rola« dochodzi, to szkoda zmieniać adres, bo to kosztuje 40 hal. Wiersz p. t. »Wioska polska« dobry. — Szeliga Józef w P. L.: Umieścimy. — Tyrna Jerzy w B.: Z nadesłanych kronik, niestety, skorzystać nie możemy, gdyż nie były pisane po jednej stronie papieru, wskutek czego musielibyśmy je przepisywać, a to zajmuje zbyt dużo czasu. — Jakób Panek w W. R.: Trudno teraz drukować, co się stało przed »godniemi świętami«, a szkoda, bo rzeczy były ciekawe. — Marcin Mirek w J.: Aby zmienić adres, trzeba podać dawną pocztę i nowy adres, a nadto przesłać 40 hal. na koszta zmiany. Ponieważ Pan nie podał dawnego adresu, więc trudno nam zmianę uskutecznić. — Józef Kapuściński w L.: Wszystkośmy otrzymali, co Pan nadesłał i mamy zachowane w tece; trudno jednak wszystko naraz wydrukować. Niektóre z tych utworów damy do kalendarza I inni autorzy chcą, aby ich utwory drukować, co też robimy. Gdybyśmy mieli tak dwa razy tyle miejsca, co obecnie, to więcejby można umieszczać. — Nie zawsze można obszernie odpowiadać, a często odpowiedź się pominie, ale to tylko dlatego, że praca redaktorska okropnie ciężka, że czasem aż głowa pęka, a wyrobić się trudno. Dodatek wyborczy będzie przez całe wybory, a nie dziw, że zapatrywania w niem wyrażone podobają się Panu, gdyż my staramy się służyć tylko dobrej sprawie a nikomu więcej. Na podpis zgadzamy się. — Robert Szewieczek z D.: Wszystko otrzymaliśmy i powoli pójdzie. Wiele prac nadsyłanych przez naszych Czytelników damy do kalendarza na r. 1912. — Michał Radwański w R.; Czy Pan kpi, czy o drogę pyta? Jak można wycinać kartki z książki i przysyłać do druku jako własny utwór. My tylko własne prace Czytelników przyjmujemy — rzeczy przepisane z drukowanego idą wprost do pieca. — Izydor Warzała w Ł.: Zagadki dobre, ale trzeba koniecznie pisać po jednej stronie papieru, gdyż na przepisywanie nie mamy czasu. — Feliks Szewczyk z R.: Utwory otrzymaliśmy. — Wiktor Więcław w N.: Maciek dziękuje. — Ks. Józef Welc w G.: Niestety, numerów z pierwszego kwartału już nie mamy, więc nie możemy służyć. — Straże pożarne z Ropczyckiego: Ciekawe żądania, abyśmy z innych gazet przedrukowywali o Strażach pożarnych z Ropczyckiego. Jeżeli ktoś chce, abyśmy coś drukowali, może wprost do nas napisać, a jeżeli to będzie rzecz interesująca, chętnie umieścimy.

Potwierdzenia prenumeraty:

W dalszym ciągu prenumeratę nadesłali PP.:

Załupski Wojciech z K. (4 K.), Hajos Józef z S. (2 K.), Kurkowa Ludmiła z S. (4 K.), Maczuga Konstanty z N. (3 K.), Kwarta Agata z Cz. (3 K.), Baczyński Józef z B. D. (3 K.), Tesarczyk Franciszek z K. (2 K.), Lebiedzik Józef z R. (1 K.), Kawalec Tomasz z T. (2 K.), Safarczyk Józef z T. D. (2 K.), Jan Kiczek z E. (Ameryka) (5 K.), Hałatek Jan z P. (2 K.), Jan Olszowy z M. (1 K.), Franciszek Dudzik z Ch. (2 K.), Kazimierz Kosowski z B. (2 K.), Michał Sanetra z K. (1 K.), Piotr Targosz z Z. (4 K.), Olga Förster z Ł. (4 K.), Antoni Stepka z S. (3 K.), Wojciech Wijas z Ś. (2 K.).

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 9 maja:

Buhaje	Kor.	100	do	200	za sztukę
Woły	„	—	„	—	„
Krowy	„	210	„	262	„
Jałówki	„	100	„	240	„
Cielęta	„	22	„	80	„
Owce i kozy	„	20	„	25	„
Świnie (bita waga)	„	146	„	160	za 50 kg.

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 9 maja:

Pszenica	Kor.	11·60	do	12·40	za 50 kg.
Żyto	„	7·95	„	8·40	„
Jęczmień	„	7·60	„	8·40	„
Owies	„	8·75	„	9·25	„
Otręby pszenne	„	5·40	„	5·60	„
Otręby żytnie	„	5·15	„	5·25	„

Zagadki do nagrody.

1. ZAGADKA.

(Ułożył F. Kowalczyk z K.)

Dwa znaczenia w jednym słowie,
Zgadnij jak ono się zowie?
Pierwszą Bóg nam daje,
Gdy mamy dobre obyczaje!
Druga: stworzenie niewinne,
Małe i bardzo zwinne.

2. ZAGADKA.

Wprzód przeczytane
Za miastem widziane,
Niebezpieczne dla pijaka,
Gdy mu długa droga jaka;
Wspak zaś dane
W gospodarstwie trzymane,
Obecnie wypróżnione
Na kupę zniesione.

3. ZAGADKA.

Dwa znaczenia w jednym słowie,
Zgadnij jak ono się zowie?
Pierwszą dzieci się cieszą,
Gdy mają w lecie;
Drugą w domu znajdziecie,
Z nią też na robotę spieszą.

4. SZARADY.

(Ułożył Arkadyusz Szarek z S. W.).

1.

Piewsza z drugą — to płomienia praca.
Pierwsza z trzecią — znacie go z pałaca,
Druga z pierwszą — drzewo wszędzie znane,
Druga z trzecią — blade lub rumiane,
Trzecia z pierwszą — jeśli masz go w trzodzie,
Waruj tedy, bo rogami bodzie;
Całość — życia towarzyszka szczera,
Służy wiernie, nigdy nie umiera.

2.

Pierwsza płynie z Wisłą corocznie do Gdańska
Druga starodawna narada słowiańska;
Całość, to rzemieślnik, a który, nie powiem,
Każdy go znać musi, potrzebny mu bowiem.

3.

Pierwszą i pół drugiej rolnik w polu sieje,
Druga jej połowa łączy zdania, słowa,
O trzeciej nam wiele mówią stare dzieje,
Jej zwyczaj u ludzi dziś jeszcze się chowa;
Całość zwierz: — w gorącym kraju żyje w lesie,
A jego imieniem często bliźnich zwie się.

Za dobre rozwiązanie przeznaczamy do wylosowania jak zwykle dwie książki.

* * *

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin do 20 maja 1911 roku. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

Znaczenie zagadek z nr. 18 *Roli*: 1. Szarada: **Parana,** 2. Zagadka: **Sok-kos,** 3. Kwadrat: **Kara, arak, raut, akta,** 4. Szarada: **Batory.**

* * *

W oznaczonym czasie rozwiązania nadesłali PP.:

A. Wróbel z K., J. Walatek z R., F. Żebrok z B., J. Czarnik z Rz. N., A. Stana z W. G., Ad. Zieliński z M. z., J. Zyzak z Ż., K. Żyła z F., F. Lebiedzik z M. K., J. Moś z Cz., M. Dudek z Ż., P. Grudek z B, A. Janas z K., A. Jesionek z Ch., W. Kowalski z K, F. Teper z M. K., A. Bezokówna z K m., Koło Macierzy szkol. z S., A. Warchoł z Z., M. Radlmesserówna z S, F. Pietryka z R., P. Juroszak z I., J. Synowiec z Ś., W. Pietrucha z R. N., F. Tomeżyk z W., F. Chrzan z H., P. Pawłowski z P., W. Szczygieł z G., J. Stelmach z Rz., J. Hirszberg z K., J. Filipiak z T., W. Trębacz z K., W. Dubaj z J. p., J. Burghardt z S., F. Sieradzki z M. K., F. Klocek z N. T., W. Flis z L g., Iwański z T., W. Stefański z G., R. Kula z M. K., F. Święch z O., J. Nycz z Ł., Józef Kobylański z L. (wierszem), Józef Chromik z J. (wierszem), Z. Bogdański z J., K. Suchodolski z H., Wojciech Badzioch z H., Wojciech Bober z H., H. Łukawski z J., Karol Baron z P.

Pierwszą nagrodę p. t. ***Blade kwiaty*** wylosował **p. M. Dudek** z Ż., zaś drugą p. t. ***Sceny sejmowe*** wylosował **p. Wojciech Badzioch** z H.

Rozwiązania najlepiej nadsyłać na kartkach pocztowych; uprasza się nie załatwiać na tych samych kartkach innych interesów do redakcyi.

Każdą reklamacyę wraz z reklamowanym numerem posyłamy do dyrekcyi poczt we Lwowie.

Wydawcy Dr Jan Hupka i Jan Kaczak. **Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.**

Drukarnia „Czasu" w Krakowie, pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.